

Księga wyjścia – 10

14 maja 2019

Ballada, ale trochę inna

Gdy już na dobre wróciłem do polskiego życia, odniosłem wrażenie, że ponownie odkryłem „Amerykę”. Chwilowe oderwanie dało mi cenny dystans do obserwacji. Pora więc je spisać nim ponownie spowszednieją. Ale najpierw trochę prywaty.



Pod jednym z moich felietonów pojawił się komentarz, który miał podważyć moją wiarygodność. Brzmiał on mniej więcej tak: „Jak można ufać komuś, kto pracował w NIE”. Bez wątpienia napisał to ktoś o skrajnie katoprawicowych poglądach, umknęło mu jednak, że pracowałem również w „Faktach i Mitach”, ba byłem tam nawet zastępcą naczelnego, a obecnie piszę dla „Dziennika Trybuna”, który jak najbardziej gazetą lewicową jest. Nie wytknął mi – co nawet bym zrozumiał – niewiarygodności spowodowanej nałogami, ponieważ uderzyłoby to w dwóch czołowych polityków PiS, mam na myśli – marszałków Kuchcińskiego i Terleckiego.

Nie wytknął mi również pracy w najmniej wiarygodnym medium, czyli w samym TVP, TVP info, i tego, że maczałem palce w

programie prowadzonym obecnie przez Magdalенę Ogórek – dzięki czemu udało mi się kiedyś publicznie zdemaskować kłamstwo samego prezesa Kurskiego – ale na rehabilitację środowisk liberalnych nie mam co liczyć. Praca w propagandowej tubie rządzących definitywnie dyskwalifikuje moją wiarygodność w oczach liberałów zwanych obecnie lewicą, praca w „NIE”, „Trybunie”, „FiM” i portalach o jasno określonej linii politycznej jest nie do strawienia dla prawicy, nawet tej najbardziej umiarkowanej. A nałogi czynią mnie niewiarygodnym dla pozostałej części społeczeństwa.

Ponieważ jednak żyjemy w kraju paradoksów, jest spora grupa, która czyta te felietony, mało tego udostępnia je i cytuje. Może właśnie dlatego, że żyjemy w świecie kłamstwa i manipulacji, wiarygodnym jest ten, kto potrafi publicznie powiedzieć „zachlałem”, „skłamałem”, „ukradłem”, „pomyliłem się”, „oszukałem” itp.

Gdyby najbardziej znany lokalny polityk, czyli radny z Żor powiedział: „mam gdzieś cały ten wasz protest przeciwko PiS-owi i sprzedaję im swoje poglądy za stanowisko”, wszyscy mieliby go za chuja, ale takiego z jajami. Wytrąciłby tym argument manifestującym. Wyobraźmy sobie taką scenę: idzie tłum wkurzonych mieszkańców Żor z transparentem „Kałuża, sprzedałeś się za stanowisko”, ten wychodzi naprzeciw i przez megafon spokojnym tonem odpowiada: „No przecież już o tym mówiłem”, po czym spokojnie wraca na obiecane przez PiS stanowisko. Zdaje się, że chodziło o fotel marszałka województwa. Manifestujący zostaliby z ręką w nocniku, bo jak tu się kłócić z kimś, kto przyznaje rację.

Istnieją dwa rodzaje polityków – przyłapani i nieprzyłapani. Nie ma w Polsce kategorii polityka skompromitowanego, czołowi działacze PiS-u tak już podbili poprzeczkę, że coś co kiedyś oburzyło cały kraj – choroba filipińska, zapalenie goleni Aleksandra Kwaśniewskiego – teraz pewnie nie zostałoby nawet zauważone przy „wyskokach” obecnych prominentów. A tak swoją drogą przypomniało mi się zdjęcie posła Bogdana Pęka, gdy w

korytarzu sejmowego hotelu dopadły go bakterie tej filipińskiej zarazy, przez co biedak zasnął w poprzek sejmowego korytarza niczym mulda w osiedlowej uliczce.

Wtedy jeszcze PiS udawał uczciwą partię, Pęk wyleciał. Kiedyś usuwali nawet wartościowych dla nich krętaczy – działaczy, jeśli zostali przyłapani na jakimś „przekręcie”. Pewnie dlatego wyleciał Hofman i Kamiński, gdyby sytuacja wyszła teraz, to jestem pewien, że włos by im z głowy nie spadł. Nieprzyłapani mają spokój dopóki nie wypłyną nagrania, lub nie wybuchnie afera. A gdy wybuchnie, to wystarczy milczeć jak w przypadku SKOK-u, z czasem sprawa ucichnie. W najgorszym wypadku powstanie jakaś komisja, która powoła podkomisję, ta z kolei po obiedzie – właśnie obiad to jedyne co zapamiętałem z obrad słynnej podkomisji zwołanej przez ministra Macierewicza. Gdy grupa członków w pośpiechu biegła na stołówkę, a jedyne co powiedzieli wtedy czekającym na jakąś informację dziennikarzom, to, klepiąc się po brzuchach, że są głodni. Nikt tak do końca nie wie czym się zajmują i nawet najbardziej dociekliwy dziennikarz nie dojdzie na jakim jest etapie prac. Wiadomo że formalnie istnieje, że generuje spore koszty, ale dawno nikt tam nikogo nie widział, telefon milczy, a zapytani politycy PiS-u odsyłają pod adres, gdzie nikogo nie ma. Nam pozostają jedynie domysły, że po wyborach – nigdy przed – objawi się z nowymi termobarycznymi rewelacjami. Tegoroczny budżet tego dziwnego gremium to dwa miliony złotych, chociaż urzęduje tam jedynie sekretarka.

Odbiegłem trochę od tematu słowa „ale”, chciałem podzielić się z Wami wnioskami jakie nasuwają się człowiekowi, który po blisko roku ponownie zainteresował się krajową polityką. A opisana wyżej sprawa, zwłaszcza z Wacławem Berczyńskim, była chyba ostatnią sensacją zanim opuściłem ojczyznę (czemu nie matczyzną, albo rodziczyzną?).

Przyłapani zawsze bronią się tym magicznym „ale”. Zawsze gdy coś wypłynie, ktoś zostanie nagrany, przyłapany lub diametralnie zmieni barwy partyjne dodaje od razu, „ale

wynikało to z interesu publicznego...”, lub „ale dzięki temu będę mógł zrobić to czy tamto”.

Zwróćcie uwagę na magiczne słowo „ale”, które zastosowane w zdaniu podrzędnym zawsze kasuje zdanie nadrzędne, czyli zwykle jakąś winę. Mogłbym napisać tak: jestem lewicowym dziennikarzem, ale zatrudniłem się w TVP, by przemycać antyprawicowe treści, a w „Studio Polska”, by blokować rasistowskie tweety. Jedno małe „ale” i już wychodzę na Kłosa i Wallenroda w jednym. Guzik prawda, potrzebowałem pracy i kasy, a o tym że będę między innymi cenzurował tweety dowiedziałem się później.

Może właśnie dlatego ktoś, kto nie dorabia ideologii zmieniając redakcję i bez ogródek opowiada o swoich upadkach. Mówi wprost o tym co inni chowają pod dywan, lub czynią różne akrobacje, by wytłumaczyć publicznie takie, a nie inne decyzje (czytaj kłamstwa), co chwilę używając spójnika „ale” jako wykrzyknika zaprzeczającego, lub wyrażającego przeciwieństwo przypisywanym intencjom. Nie wiem dlaczego, zawsze gdy słyszę „ale” mam przed oczami Ryszarda Czarneckiego – to tak na marginesie.

Żyjemy w czasach, gdzie prawdę można wyłowić jedynie z potoku kłamstw i manipulacji, ale żeby to zrobić trzeba trochę poćwiczyć krytyczne myślenie. U mnie nauka powinna iść w parze z zawodem, ale wierzcie mi, niewielu dziennikarzy zdaje sobie sprawę, że są manipulowani. Ja zorientowałem się gdy wróciłem z wojny w byłej Jugosławii i zobaczyłem w Polskiej telewizji (we wszystkich kanałach) relacje diametralnie odbiegające od tego, co widziałem na miejscu. Niezłą lekcją oddzielania ziarna od plew są fejsbukowe programy Kubu Wątłego – niezależnie czy się z nim zgadzamy czy nie, obnaża mechanizmy jakimi mamia nas media i jak z tej papki wyłowić przynajmniej jakiś zarys prawdy, obnaża jak nie łykać każdej bzdury uwiarygodnionej odpowiednią oprawą i powagą dużej stacji telewizyjnej.

Tyle o polityce. Codzienność też ukazała mi się na nowo. Bardzo często korzystam z publicznego transportu. Chcąc nie chcąc jestem świadkiem rozmów prowadzonych przez współpasażerów. Do wszelkich naszych przywar dołożyłbym jeszcze jedną – „mądrości” zaczerpnięte z „podblokowej” ławki, lub knajpy i kolportowane jako niepodważalne fakty.

Przy okazji przypomniała mi się historia sprzed ponad dwudziestu lat. Pracowałem wtedy w puławskim oddziale „Dziennika Wschodniego”, mieliśmy siedzibę w jednym z pawilonów. Wchodziło się więc jak do zwykłego sklepu, nie było sekretarek i każdy kto przekroczył próg wchodził wprost do redakcji.

Przyszedł kiedyś pewien mężczyzna, bez większego skrępowania usiadł na krześle i powiedział: „Panie redaktorze, musi pan to napisać, to bardzo ważne”. Zaintrygował mnie i przerwałem pracę w oczekiwaniu co powie. Po krótkiej pauzie, która podniosła napięcie zaczął wreszcie mówić: „Wszystko przez tych Żydów” – powiedział i spojrzał na mnie w oczekiwaniu na pytanie dzięki któremu będzie mógł kontynuować. „Kogo ma pan na myśli – mieszkańców Izraela, czy wyznawców judaizmu?” – zapytałem. „Chodzi mi o tych Żydów, przez których świat jest pełen zła, tych co ukrzyżowali Jezusa” – odparł. Nie wdając się w szczegóły, odpowiedziałem mu w najprostszy możliwy sposób: „Myli się pan, Jezus sam był Żydem, a ukrzyżowali go Rzymianie” – powiedziałem. Faceta zmroziło, dobrą chwilę milczał nie wiedząc co powiedzieć, w końcu wstał i drapiąc się w głowę odrzekł – „To ja już kurwa nic nie rozumiem”.

Potraktował bardzo poważnie moją odpowiedź, która zburzyła mu całą teorię złą, zwalającą na tego okropnego Żyda wszystko. Od braku gminnej drogi przez nieurodzaj i oczywiście to, że krowa padła. Już nie chodzi o nację, prawdziwym problemem tego faceta – z wyglądu rolnik – było to, że nie miał już na kogo zwalić winy.

Wracając jednak do teraźniejszości, każdego dnia jeżdżę albo

do Kazimierza Dolnego, albo do Lublina. Za każdym razem autobusem. Jestem świadkiem najprzeróżniejszych rozmów. Ponownie uderzyła mnie ta nasza narodowa pewność własnej opinii.

O ile nie wchodziłem w dyskusję o bogu, religii i obgadywaniu znajomych (kolejna nasza cecha), to gdy usłyszałem rozmowę o „księżycowym kłamstwie”, zacząłem jej się uważnie przysłuchiwać. Obaj rozmówcy byli pewni – Amerykanie nigdy na księżycu nie byli. Siedzieliśmy w autobusie, w jednym z tych czteroosobowych miejsc, czyli foteli naprzeciwko siebie. Rozmówcy szydzili z tego „kłamstwa” przerzucając się dowodami. Zaintrygowało mnie to do tego stopnia, że postanowiłem włączyć się w tę rozmowę. Zapytałem skąd takie wnioski, jak dotarli do takich wiadomości? „Flaga powiewała mimo, że księżycu nie ma wiatru” – powiedział jeden z nich. Drugi wspomniał o odcisku buta: „Nie ma takiej możliwości, by na suchym piachu pozostawić ślad. A na księżycu nie ma przecież wody” – odpowiedział pewnie.

Zapytałem więc, czy oglądali film ze słynnym lądowaniem – potwierdzili, następnie zapytałem czy wiedzą jaka jest tam grawitacja i atmosfera. Gdy skończyłem zdanie jeden patrzył w okno, drugi sprawdzał czy ma odpowiednio zawiązanego buta. Udałem, że nie zauważam konsternacji i ciągnąłem dalej, tak jakbym założył, że obaj doskonale wiedzą, a pytanie było retoryczne. Kontynuowałem więc już całkiem poważnie. Oczywiście, mógłbym od razu zapytać skąd wiedzą, że na księżycu nie ma ani wiatru, ani wody, powiedzieć, że najnowsze dane NASA są zupełnie inne, wymyślić naprędce kilka tytułów nieistniejących książek opisujących nigdy nieprzeprowadzone badania i powołać się na kilka zmyślonych nazwisk dodając przed każdym „profesor” – ale to urwałoby całą zabawę, bo nie potrafiliby podać kontrźródeł i albo by zamilkli, albo zmienili temat. A ja zamiast zasiać wątpliwość – co było moim celem – puściłbym w obieg zwykłe kłamstwo. Postanowiłem nie czepiać się więc drobiazgów i rzetelnie wyłożyć mój tok

rozumowania.

„Rozmawiacie o słynnym lądowaniu w 1969 roku, gdy cały świat zaparł oddech oglądając telewizję. Czy była to prawda czy mistyfikacja – nie wiem, ale jeśli Amerykanie nakręcili to w jakimś studiu, to tam też nie ma wiatru. Nie wiem jak zachowa się w próżni i przy sześciokrotnie słabszym przyciąganiu płachta materiału wprowadzona w ruch podczas niesienia. Może zamiast opadać podobnie jak na ziemi, będzie jeszcze jakiś czas łopotać, nie znam też struktury księżycowego gruntu. Mówimy o nim piach, pył, oczywiście na ziemi w suchym pyłe nie byłoby szans żeby zostawić tak wyraźne ślady buta. Ale dlatego, że ziemski piach przypomina miniaturowe, gładkie kamyki, a ja nie mam pojęcia czy tam są takie same. A może ich powierzchnia jest jak papier ścierny, lub haczykowata? Nie mam pojęcia czy Amerykanie byli na księżycu, czy też nie. Panowie to podważacie. Lot o którym rozmawiamy był w 1969 roku, czyli w samym szczycie zimnej wojny. Zarówno Rosjanie jak i Amerykanie wsadzali swoich szpiegów gdzie się da, korumpowali, szantażowali i wzajemnie nafaszerowali się agenturą bardziej niż świąteczna strucla rodzinami. Jeśli Rosjanie wykryliby blamaż, druga strona długo nie pozbierałaby się po takim ciosie. Ogromne ryzyko. Na chłopski rozum: czy były wówczas możliwości techniczne takiego przedsięwzięcia? Pewności oczywiście nie mam, ale wiem, że bezzałogowe już tam lądowały, sowieckie również – więc jest to bardzo prawdopodobne. Jeśli nie, to czy nie lepiej byłoby nie udawać lotu, niż zostać skompromitowanym – przypominam, że w tamtym czasie byłoby to kosmicznym samobójstwem dla USA, katastrofą większą niż zawalenie Manhattanu. Chociaż pewności mieć nie mogę, to jednak myślę, że jest to bardziej prawdopodobne niż teza o mistyfikacji” – zakończyłem wyjaśnienie, w momencie gdy autobus minął Bochoćnicę i powoli zbliżał się do Kazimierza. „Brzmi to nawet sensownie, ale gdyby naprawdę polecieeli wtedy na księżyc, to już by nie odpuścili i polecieliby tam znowu”, autobus zatrzymał się już na przystanku. „Zaraz, zaraz – zapytałem wychodząc – to pan nie wie o pozostałych lotach?

Było ich sześć, tych załogowych oczywiście, ostatni w grudniu 1970 roku” – odpowiedziałem sam sobie. Machnąłem im ręką na pożegnanie – ale sprawiali wrażenie zahipnotyzowanych i pewnie wzięli mnie za idiotę.

„Sonda właśnie dotknęła ZIEMI” – przypominałem sobie relację telewizyjną ze słynnego pierwszego lądowania na Marsie. No cóż, dziennikarz, wydawca, czy lektor nie muszą znać się na astronomii, ale powinni wiedzieć, że powierzchni Marsa, raczej „ziemią” nazwać nie można. Grunt, podłoże i wiele innych synonimów. Ale ziemia? Może jednak faceci w autobusie mieli rację pomyślałem i parsknąłem śmiechem.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info